
Rzecz o duchach

Ci z czytelników, którym zdarzyło się kiedyś uciec z dusznej, pełnej letniego kurzu Warszawy i znaleźć się nazajutrz w świeży czerwcowy poranek w Zakopanem – zrozumieją od razu nastrój, w jakim się znajdowałem. Zrozumieją tym lepiej, gdy dodam, że miałem wówczas lat tylko dziewiętnaście, a przed sobą perspektywę długich, trzymiesięcznych wakacji uniwersyteckich.

Stałem na pustym peronie zakopiańskiego dworca i patrzyłem w stronę gór. W Warszawie zostawiłem upalne lato – tu przywitała mnie późna górska wiosna, pełna zapachu ziół i kwiatów. Od gór tchnęło surowe, rześkie powietrze, nasycone chłodem topniejących śniegów tatrzańskich. Było słonecznie, cicho i pusto. Na dworcu ani żywej duszy, lecz dalej, wokół – iluż znajomych! Stary Giewont, trochę efekciarsko kokietujący swą sylwetką śpiącego rycerza, straszący co lękliwszych „ceprów” ogromem białawych, wapiennych urwisk północnej ściany, z tyłu kopuły Czerwonych Wierchów, gdzieniegdzie przykryte jeszcze płatami śniegu, na lewo Kasprowy, nie zakuty jeszcze wówczas w uciążliwe łańcuchy kolejki linowej, a dalej – to już „prawdziwe” góry: Wysokie Tatry. Wyniosła Świnica, smukła piramida Kościelca, baszty Kozich Wierchów, Granaty, Buczynowe, rozłożyste cielsko Koszystej... Ile jeszcze śniegu po żlebach! No cóż – 25 czerwca, tatrzańskie lato dopiero się rozpocznie.

Na Koszystej kończy się widoczna z Zakopanego panorama Tatr, ale gozdinę temu – jeszcze z okna pociągu mogłem powitać innych znajomych,

tych zza czechosłowackiej granicy. Gerlach, Świstowy, Jaworowe, a przede wszystkim Lodowy – ten najbardziej z dala rzucający się w oczy szczyt tatrzański. Jego poziom, zaśnieżone półki, upodabiające go nieco do Everestu, widoczne są ponoć niekiedy i z Krakowa. Jakżeż niedawno to było – zaledwie dwa miesiące temu! – gdy na śnieżnych urwiskach Lodowego zdobywałem swe ostrogi wysokogórskie, wprowadzające mnie do szczupłej garstki taternickich „asów”...

Z poczuciem całkowitej bez troski rozpoczynałem swoje skalne lato. Cóż z tego, że na cały zamierzony pobyt posiadałem dwadzieścia złotych w kieszeni? Takimi drobiazgami nikt z nas się wtedy nie przejmował. Nie było wprawdzie „obozów sportowych”, „wyczynowych” czy innych, Klub Wysokogórski nie łożył wielotysięcznych dotacji, uważając zapewne, że wspinaczka przynosi pożytek samemu wspinającemu się, a nie organizacji alpinistycznej – nie było też kursów szkoleniowych, na których „w ramach pracy społecznej” można by w charakterze instruktora zarobić na dostatnie życie. Za to za dwadzieścia złotych można było kupić całą furę – oczywiście niezbyt wybrednej – żywności: kasz, makaronów, cukru, boczku, słoniny, herbaty, cebuli, suszonych jarzyn. Ciepły, puchowy śpiwór zapewniał wygodny nocleg w każdej tatrzańskiej kolebie. A zresztą w Roztoce, u zacnej, kochanej pani Grabowskiej, „mamy” wszystkich taterników, kredyt był stale otwarty. Na powrotną drogę także pożyczala – coś zresztą miała robić nieszczęsna? – a potem się jakoś po trochu z Warszawy odsyłało. Jak widać – nie miałem więc zbytnich powodów do zmartwień.

Nim minęło południe, zapasy zostały skompletowane, ale byłoby to złą wróżbą dla mego sezonu taternickiego, gdybym go nie rozpoczął od spotkania z przewodnikiem Józkiem Krzeptowskim, przyjacielem i towarzyszem wielu wypraw górskich. Józka nietrudno odnaleźć w Zakopanem – dużo trudniej zgubić, zwłaszcza gdy się do tego wcale nie ma ochoty. Toteż Zakopane, Kościeliska, Krzeptówki widziały nas tego dnia w wielu miejscach, gdy wałęsaliśmy się do późnej nocy, trzymając się za ramiona, gadając, śpiewając, odwiedzając różnych góralskich znajomych i przyjaciół.

Nazajutrz rano rozsiadłem się w autobusie idącym do Morskiego Oka. W owych czasach nie kursowały jeszcze na tej trasie autobusy państwowe; wprowadzono je na krótko przed wojną. W roku 1935 – oprócz

taksówek – jeździły do Roztoki i Morskiego Oka niewielkie odkryte autobusiki prywatne. Nie było też ustalonego rozkładu jazdy. Gdy uzbierało się kilku, czasem kilkunastu pasażerów i kierowca uznał, że kurs będzie już dostatecznie opłacalny – następował odjazd. Ponieważ większość kierowców, a zarazem właścicieli tych autobusów, byli to zakopiańscy koledzy szkolni moich braci – korzystałem z jakże dogodnego dla mnie przywileju przejazdów. Dzięki temu stosunkowo niewiele razy zdarzyło mi się pędzić z ciężkim worem pieszym szlakiem przez Waksmundzką Polanę do Roztoki, co było normalnym znojnym chlebem moich – nawet zamożniejszych ode mnie – kolegów taterników.

Pomimo że poprzednią noc spędziłem w pociągu (oczywiście na siedząco, w trzeciej klasie – sypialnym pierwszy raz w życiu jechałem chyba po wojnie), a ostatnią gdzieś na sianie u Józka na Krzeptówkach – gdy tylko autobus ruszył, poczułem się wypoczęty i pełen sił.

Ranek znów był słoneczny, krystaliczne powietrze górskiej wiosny odczuwało się w sposób całkowicie realny i dotykalny, na kształt czegoś, co się da pić i łykać jak orzeźwiający płyn. Wreszcie samo zbliżanie się do gór wprowadza mnie zawsze w stan jakiegoś radosnego podniecenia; pod tym względem nie zmieniłem się chyba w ciągu tych długich lat.

Właściwie dopiero w autobusie zacząłem snuć pierwsze konkretne plany. Plany były zresztą zupełnie proste. Jestem teraz sam – koledzy i towarzysze z liny poczną się zjeżdżać za kilka dni. Góry są jeszcze puste, pogoda piękna. Cóż można uczynić lepszego, jak pójść do jakiejś słonecznej, dzikiej doliny tatrzańskiej, posiedzieć w niej samotnie, odpocząć, rozluźnić się, wyrzucić z siebie, wyparować wszystkie pozostałości miejskiego życia, wszystko, co w nas tkwi z drobnych, nieważnych spraw nizin? Wybieram Litworową, jedną z moich najbardziej ulubionych dolin. Wymarsz? – jeszcze dzisiaj.

Autobus mija Capowski Las, Suchą Wodę, wspina się serpentynami do Zazadniej na Wierch Poroniec. W owych czasach szosa do Morskiego Oka była daleko bardziej widokowa niż obecnie, a już od Wierchu Porońca nieomal co chwila odsłaniał się wgląd we wnętrze Doliny Białej Wody z otaczającymi ją szczytami: Gerlachem, Batorywieckimi, Młynarzem... Cóż – przez te dwadzieścia parę lat lasy urosły znacznie, tworząc gęsty, zielony tunel, oddzielający wędrowca od górskiej panoramy.



Na Polanie Biała Woda, w głębi Młynarz z charakterystycznym podcięciem ścian Młynarczyka

Przy Wodogrzmotach wyskakuję z autobusu, zbiegam ścieżką w dół, za chwilę jestem na zalanej słońcem roztockiej polanie i wkraczam do schroniska. W pustej jadalni zastaję tylko Jurka Grabowskiego, młodszego brata dzierżawcy schroniska, inż. Romana Grabowskiego. To wzorowo prowadzone schronisko, które do dziś z wdzięcznością wspomina każdy przedwojenny turysta, obsługiwane było właściwie w całości przez rodzinę Grabowskich przy niewielkiej ilości pomocnic i podkuchennych. Jurek zawiadywał bufetem, opiekował się gośćmi, wyznaczał miejsca noclegowe, Roman pomagał mu, ale przede wszystkim załatwiał wszystkie sprawy urzędowe w Zakopanem i w Krakowie, a ponadto zaopatrywał schronisko w żywność, wożąc ją sam z Zakopanego furką zaprzęzoną w konia o imieniu Kuba. Ów Kuba był to rumak ognisty o manierach wysoce niesympatycznych. Gdy tylko znajdował się poza swą zagrodą i zoczył jakiegoś turystę – natychmiast pędził za nim szczypiąc go zębami gdzie

popadło. W pogoni za umykającym turystą potrafił się zapędzić aż na schody werandy. Baliśmy się go wszyscy jak ognia⁵⁸.

Duszą schroniska była pani Stanisława Grabowska, matka obu braci. Prowadziła kuchnię, całe gospodarstwo, miała pieczę nad wszystkim. Ta drobna, szczupła, starsza pani, pełna dobroci i życzliwości dla każdego, miała przy tym tyle energii, że jej kierowniczy autorytet uznawali wszyscy – i Roman, i wysoki, barczysty Jurek, i mąż, czarujący starszy pan, który także nieraz potrafił stanąć za bufetem, a ponadto prowadził buchalterię schroniska. Autorytet ten szanowali nawet dość niesforni z natury taternicy. Czyż mogło być zresztą inaczej? – traktowała nas po trosze jak swoje dzieci: była surowa, wymagająca, ale jednocześnie czuła, opiekuńcza – miała wielkie, dla każdego z nas szeroko otwarte serce.

W tym czasie byłem jeszcze młodym taternikiem i dość świeżym członkiem „roztockiej rodziny”. Z rodziną Grabowskich nie byłem jeszcze tak zżyty, z Romanem i Jurkiem byłem na „pan”. Dopiero właśnie w ciągu lata 1935 nasza przyjaźń została przypieczętowana i przetrwała do chwili obecnej, choć dzielą nas od siebie tysiące kilometrów przestrzeni.

Wróćmy jednak do opowiadania.

– Przyjechał pan sam? – zapytał mnie Jurek po serdecznym przywitaniu.
– Sam. Na razie sam. Za trzy dni przyjeżdża Orenburg, po pierwszym Zdziś i Lux, potem Róża, Maciek Zajączkowski i cała reszta warszawskiej paczki⁵⁹.

– Świetnie. A zatem przyjechał pan forpocztą?

– Nie... autobusem – odpowiedziałem, zadowolony ze swego wątpliwego dowcipu.

Jurek spojrział na mnie zdumiony i prędko zaproponował, żebym coś zjadł lub wypił. Zamówiłem mleko, bo to było najtańsze. Duża szklanka wymienitego gorącego mleka kosztowała ze zniżką bodaj 15 groszy. Trzeba tu dodać, że członkowie Klubu Wysokogórskiego mieli przed wojną w schroniskach specjalne, większe niż inni członkowie PTT, zniżki na noclegach, a ponadto ulgi w cenach posiłków.

⁵⁸ Obawy nie były nieuzasadnione: w dwa lub trzy lata później zabił kopniemcem w głowę starszego pana Grabowskiego, ojca Romana i Jerzego (przyp. autora).

⁵⁹ Józef Orenburg, Zdzisław Dąbrowski, Stanisław Luxemburg, Róża Drojecka (przyp. red.).

Mile się gawędzi z Jurkiem, ale muszę pamiętać, że jeszcze dziś chcę dojść do Litworowej Doliny, to znaczy – mam przed sobą około czterech godzin marszu. Zaczynam się przepakowywać. Jurek pokazuje mi najnowszą inwestycję schroniskową: duże, zamknięte szafki na przechowywanie rzeczy. Innowacja bardzo wygodna dla taterników, gdyż Roztoka stanowiła wówczas najlepszy punkt wyjściowy w Tatrach, zwłaszcza słowackie⁶⁰. Toteż schronisko w Roztoce traktowali taternicy jako swą stałą bazę: instalowali się na całe lato wraz ze sprzętem, żywnością, zapasową bielizną itd. i stąd dokonywali kilkudniowych lub dłuższych wypadów z odpowiednią porcją żywności do poszczególnych dolin. Więcej nawet – krótszych wspinaczek w otoczeniu Morskiego Oka czy Pięciu Stawów, takich jak Żabi Koń, Mnich czy Zamarła – dokonywano z wyjściem i powrotem do Roztoki. Tak ustalony tryb wymagał ciągłego zostawiania rzeczy pod opieką gospodarzy Roztoki. Szafki rozwiązywały tę trudność. Natychmiast zająłem dla siebie szafkę nr 1, która służyła mi stale aż do wybuchu wojny (liny i haki np. zostawiałem tam na cały rok). Umieściłem w niej swój dobytek, zabierając tylko śpiwór, maszynkę, trochę ubrań i żywność na trzy dni.

Jurek był ostatnim człowiekiem na trasie mych najbliższych paru dni, a Roztoka – ostatnim zamieszkanym osiedlem. Gdy wąską kładką przepравиłem się na drugi brzeg Białej Wody – zostałem sam i miałem pozostać samotny aż do końca tej wycieczki.

Dotarłszy do krańca Polany Białej Wody, począłem się wznosić w górę stokami Szerokiej Jaworzyńskiej, starą myśliwską ścieżką. Normalna droga, zniszczona przez wielką powódź lipcową 1934 roku, była w tym czasie zbyt niewygodna. Z górnej ścieżki odsłaniał się widok na wnętrze doliny, a także na jej boczną odnogę – Dolinę Żabich Stawów Białczańskich. Tę ostatnią zakryły wkrótce groźne spaszty Młynarza, dominującego w tej części doliny. Wspaniale wyglądało stąd zwłaszcza urwisko dwuwierchołkowej turni Małego Młynarza. Ściana ta interesowała mnie już od zeszłego roku. Jest duża – ma ze trzysta metrów wysokości – rozległa, a co najważniejsze nie dotknięta jeszcze stopą

⁶⁰ W latach trzydziestych XX w. wolno było przekraczać granicę na Białce, udając się w otoczenie Dol. Białej Wody lub dalej na południową stronę Tatr (przyj. red.).



Od lewej Juliusz Żuławski, Krzysia Miłobędzka i Wawrzyniec Żuławski
w Dolinie Kaczej

ludzką. Jedna to już z ostatnich wielkich ścian tatrzańskich, która do-
tąd pozostała dziewicza⁶¹. Może by spróbować ją zdobyć? Wygląda
wprawdzie odstraszająco, ale cóż można wiedzieć, póki się samemu nie
„ugryzie”. Spróbować zawsze warto. Oczywiście, trzeba by ją atakować
we dwójkę z jakimś doskonałym wspinaczem, wytrawnym, doświad-
czonym towarzyszem.

Samotnie maszeruje się zazwyczaj dość szybko. Już mijam górny
kraniec Polany pod Żabiem, widzę w dole, nad potokiem nie istniejący
dziś szalas, już wkraczam w głęboki las i niebawem łączę się z normal-
ną drogą, biegnącą z dołu, z Roztoki. Jeszcze pół godziny wędrówki
i Polana pod Wysoką odsłania się tak raptownie, jakby opadła nagle
jakaś niewidzialna kurtyna. Tyle razy byłem tam już przedtem i znów
zatkał mi oddech w piersi widok na tę słoneczną górską halę, otoczoną

⁶¹ Pierwszą drogę na Małym Młynarzu na jego północno-wschodniej ścianie wytyczył wła-
śnie Wawrzyniec Żuławski, wraz ze Zbigniewem Korosadowiczem w 1935 roku. W latach
1960-1970 poprowadzono tam wiele dróg zaliczanych do najtrudniejszych w Tatrach
(przyp. red.).



Na grani Ciężkiego Szczytu, z tyłu w środku Młynarz, dalej i w prawo
Szeroka Jaworzyńska

łańcuchem potężnych szczytów: Młynarza, Rysów, Wysokiej, Ganku, Rumanowego, Gerlachu, Świstowego... Ostra skarpa Młynarza zdaje się zwisać tuż nad głową, przysiągłbyś, że któregoś dnia zwali się na dachy szałasów pasterskich, rozrzuconych po obu stronach potoku. Dalej za Młynarzem, a raczej za ową skarpią zwaną Nawiesistą Turnią, wokół Polany pod Wysoką widnieją doliny wiszące, wpadające stromymi Ścianami Stawiarskimi, rozmieszczone na kształt łóż w jakimś gigantycznym teatrze. Oto na prawo najwyższa z łóż, blisko czterysta metrów ponad Polanę wzniesiona Dolina Czeska, wciśnięta pomiędzy stoki Młynarza, Wysokiej i Ganku. Oto na wprost nisko rozsiadła się Dolina Kacza – szeroka, reprezentacyjna łoża królewska, a z tyłu nad nią, wciśnięta poza Zasłonistą Turnię, mała łożka straży przybocznej: górne piętro Kaczej. Na lewo, oddzielona od Kaczej grzbietem Hrubej Turni – łoża Doliny Świstowej, a jeszcze bardziej w lewo – już trochę z tyłu – Dolina Rówienek.

Szałas na polanie są jeszcze puste. Wypasający tu przez lato juhasi z Jurgowa przyciągają swoje krowy dopiero w początkach lipca, gdy trawa będzie już dostatecznie wyrosnięta i soczysta. Obecnie dolina ta, jak i całe Tatry słowackie, należy do czeskosłowackiego Tatrzańskiego Parku Narodowego⁶², na terenie którego wszelki wypas jest surowo zabroniony. Opuszczone od lat szałas pozawalały się i dziś spotykamy tylko ich resztki. Wtedy jednakże Polana tętniła bujnym życiem pasterskim, a w głównym szałasie, jedynym po prawej stronie potoku, paliło się stale potężne ognisko. W szałasie tym sypiali pospołu juhasi i taternicy, którzy miejsce to uważali za swą wysuniętą „bazę wypadową”. Za to roślinność na Polanie nigdy nie była tak bujna jak teraz.

Postój na Polanie trwał krótko. Godzina jest późna i trzeba ruszać dalej. Zagłębiam się w wysoki, stary bór, obrastający próg Doliny Kaczej, by wynurzyć się z niego w pobliżu wspaniałej Kaczej Siklawy, spadającej z grzmozem poprzez Ścianę Stawiarską.

Mimo zbliżającego się zmierzchu na skraju Kaczej Doliny muszę się zatrzymać, by choć przez chwilę popatrzeć na monumentalny trójząb

⁶² Dziś TANAP, słowacki odpowiednik polskiego Tatrzańskiego Parku Narodowego (przyp red.).

szczytów Ganku, Rumanowego i Żłobistego, opadających do doliny siedmiuset- i ośmiusetmetrowymi urwiskami, czy na ściany grzebienia, biegnącego od Zachodnich Żelaznych Wrót, poprzez Śnieżne Kopy, wschodni szczyt Żelaznych Wrót, Zamarzły, Kaczy, Batyżowiecki, aż do cofniętego w tył Zadniego Gerlachu. Nasyciwszy się nieco widokiem, włożyłem znów plecak na siebie, skręciłem w lewo wzdłuż Litworowego Potoku i pomaszerowałem poprzez rozległe skalisto-trawiaste bule podnóża Litworowej Doliny. Nim dotarłem na najwyższe piętro doliny – było już prawie zupełnie ciemno.

Do tej chwili samotność była źródłem jeszcze jednej dodatkowej przyjemności dnia górskiego, teraz – zaczęła mi ona nieco ciążyć. Trudno powiedzieć, na czym to polega. Miałem przecież świadomość całkowitego bezpieczeństwa. Dzikich zwierząt, które by mogły zagrażać człowiekowi, w Tatrach nie ma, tym bardziej nie groziło mi nic od ludzi. Drogę miałem przed sobą już niedaleką i dobrze mi znaną, więc jakkolwiek niewyraźna perć gubiła się w ciemnościach, nie mogło być mowy o zbłądzeniu. Oczywiście – nie muszę dodawać – nie jestem ani przesądny, ani szczególnie lękliwy, ani nie wierzę w „duchy”. A jednak – co tu ukrywać – człowiek jest widać stworzeniem towarzyskim i samotnie w górach, w nocy, czuje się trochę nieswojo. Osobliwy patos samotności dobry jest w dzień, przy jasno świecącym słońcu, ale teraz myśl, że najbliżsi ludzie są oddaleni ode mnie o cztery godziny marszu – wcale nie dodawała mi ducha.

Gdy, mimo woli coraz bardziej przyspieszając kroku, dotarłem do łączki, na której znajduje się koleba, o kilka kroków od Litworowego Stawu – zrzuciłem plecak i natychmiast, po omacku, zacząłem zbierać suche drzewo na opał (było go tam wówczas sporo; dziś nad Litworowym Stawem jest dość trudno znaleźć luźne, suche gałązki korówki, nałamane przez potoki lub wiosenne roztopy). W kilka chwil zapłonęło ognisko, a wraz z nim powróciło do równowagi zachwiane poczucie bezpieczeństwa. Dziwne, nieomal magiczne jest oddziaływanie ogniska w nocy, w górach. Ten niewielki krąg światła, które wokół rozsiewa, w jednej chwili rozprasza wszystkie uroki nocy, rozprasza ów nieokreślony lęk przed ciemnością, w której nie wiadomo co się kryje. To znaczy – rozum człowieka cywilizowanego wie z całą pewnością, że w ciemności tej nie kryje się nic złowrogiego, ale w każdym z nas tkwi

potężny kawał pradawnego dzikusa, skrępowanego na co dzień więzami cywilizacji współczesnego życia. Tu wysoko w górach, w warunkach bytowania, które nie różnią się wiele od życia epoki jaskiniowej, dzikus wyzwala się i bierze górę, wraz ze swymi ciemnymi instynktami i odczuwaniami. Nasze cywilizowane „ja” zostawiamy w Warszawie, a w najlepszym razie w ostatnim schronisku. Tak jest w istocie i nie ma się czego wstydzić. Może dlatego pobyt w górach, w owych prymitywnych warunkach, stanowi tak potężne odprężenie psychiczne, może dlatego alpinizm i turystyka wysokogórska uchodzi i nie bez racji za „sport intelektualistów”. Dla człowieka, który pracuje intelektem, którego umysł pozostaje przez cały rok w stanie silnego napięcia i skupienia nad sprawami kultury, wiedzy, postępu, cywilizacji, górując całkowicie nad resztkami owego drugiego barbarzyńskiego „ja” – dla człowieka takiego jest czymś w rodzaju orzeźwiającej kąpieli życie sprowadzone do najprostszyc problemów bytu: do zaspokojenia głodu i zapewnienia sobie względnie suchego i ciepłego miejsca dla spędzenia nocy! I wtedy ten przerafinowany intelektualista może sobie pozwolić na wyswobodzenie owych pokładów dzikości, na luksus spontanicznej wrażliwości odczuwania, nawet na luksus pierwotnych, pogańskich wierzeń i strachów, z których normalnie by się wyśmiewał. Czyż godzinę temu siedząc nad Zielonym Stawem w Kaczej Dolinie, ja – urodzony sceptyk – nie westchnąłem z mimowolnym żalem, że nie przyszedłem tam dwa dni wcześniej w noc świętojańską, kiedy pojawia się zaczarowana kaczka i składa złote jajo⁶³? „Romantyk jestem – trochę panteista...” – mógłby ktoś powiedzieć o mnie za Słowackim. Być może – ale to chyba nie wina mych niedostatków światopoglądowych. To raczej wina uroku czerwcowej nocy tatrzańskiej, wina nieba roziskrzonego gwiazdami, na tle którego rysują się czarne sylwetki szczytów, wina odległego szumu wodospadu i łagodnego plusku jeziora.

Wybacz dygresję, drogi Czytelniku. Będę w przyszłości starał się ich unikać. Zechciej tylko uwierzyć, iż bez względu na to, czy jeste

⁶³ Według legendy w noc świętojańską na Zielonym Stawie Kaczym pojawia się zaczarowana kaczka i składa złote jajo, po czym znika w szczelinach skalnych. Ten, kto je znajdzie, będzie bogaty. Pozostałe dni w roku pływa po podziemnych jeziorach, strzegąc ukrytych w nich skarbów (przyp. red.).

lekarzem, czy inżynierem, kompozytorem czy doktorem filozofii – gdy spojrzysz z ciemności nocy górskiej na płonące ognisko, na czerwony odblask, który drga na pobliskich głazach, ręczę, że odczujesz to samo, co ja wtedy. Odczujesz, że to Twój dom, Twoje bezpieczne schronienie przed wszystkim, czym mogłaby Ci grozić przyroda lub Twoja własna wyobraźnia.

Ale ogień już dogasa. Czas schronić się do wnętrza koleby. Litworowa Koleba to ogromny, pęknięty na dwoje głaz, oparty jedną krawędzią o mniejsze bloki skalne i tworzący dzięki temu płaski okap, wzniesiony skośnie nad powierzchnią łączki, na której się znajduje. Wnętrze jest obszerne, choć sufit zwisa trochę za nisko. W każdym razie cztery lub pięć osób mogłoby się pomieścić wygodnie. Będąc sam, zażywam rozkoszy dowolnego układania się i rozprzestrzeniania, co w kolebie zazwyczaj nie jest takie proste.

Umieszczam głowę w pobliżu „okienka” i otworu wejściowego, włożę w śpiwór i zasypiam w rozkosznym cieple stygnącego ogniska.

Gdy nie pali się już ogień, góry obejmują znów we władanie „złe moce” czyhające na biednego barbarzyńcę, śpiącego pod włazem koleby. Budzą mnie jakieś głosy. W szumie wodospadu słyszę wyraźnie przeciągłe, jęgliwe wołanie, monotonne zawodzenie człowieka wzywającego ratunku. Chwilami urywa się ono, potem odzywa się znowu. Próbuję liczyć, czy wołanie następuje sześć razy na minutę. Nie zgadza się. Któż jednak zaręczy, że wołający zna górskie przepisy ratunkowe? Wyskakuję z koleby, idę w kierunku głosu, krzyczę, świecę latarką. Wołanie umilkło na dłuższy czas, by znów wybuchnąć z rozpaczliwą siłą. I nagle – gdy już odszedłem paręset kroków od koleby – uświadomiłem sobie, że padłem ofiarą złudzenia. To po prostu wiatr wyprawia harce w wodospadzie, naśladując ludzkie głosy. O, znowu się odzywa...

Mózg pracuje normalnie i przywołuje do porządku rozognioną wyobraźnię. Nic takiego! – tyle razy już dawniej słyszałem podobne głosy... Ale wracając do koleby, czuję nieprzyjemny dreszczyk w plecach. To zapewne z nocnego chłodu. Zły na siebie, lokuję się z powrotem w śpiworze.

Nim zdążyłem się zdrzemnąć – nowe strachy. W zupełnej ciszy panującej na zewnątrz koleby słyszę kroki. Ktoś idzie wzdłuż stawu w górskich, podkutych butach. Nie ma głupich! Słyszałem to już dziesiątki razy.



Zofia Paryska i Wawrzyniec Żuławski wysoko w Tatrach

Gdy leciutki wiaterek marszczy wodę stawu, falki odbijają się kolejno o głązy zaokrąglonego zwykle brzegu. Daje to efekt do złudzenia przypominający zbliżające się kroki. Zresztą któż by to mógł iść o tej porze? Najbliżsi ludzie są przecież o cztery godziny drogi!

A jeśli ktoś rzeczywiście zaplątał się tu od strony Rohatki czy Polskiego Grzebienia? Jeśli wołanie od strony wodospadu, spływającego ze Zmarzłego Stawu w Dolinie Świstowej nie było złudzeniem? Jeśli ten turysta zgubił niewyraźną perć, wzywał nadaremnie pomocy, a potem udało mu się zejść na trawy Doliny Litworowej i teraz kroczy nad stawem? Całość zaczyna się układać w pozornie logiczny zespół faktów. Realność sytuacji usuwa natychmiast lęk. Trzeba się zaopiekować zbłąkanym wędrowcem.

Znów wychodzę przed kolebę, znów wołam, krzyczę, sygnalizuję latarką. Oczywiście bez rezultatu. Wracam do śpiwora. Kroki rozbrzmiewają po

chwili, potem jęklive nawoływanie w wodospadzie, potem znowu kroki, ale tym razem strasznie blisko, tuż przed kolebą. Wyskakuję do otworu wejściowego i szybko się cofam...

Wstyd mi się po prostu przyznać... Tuż przed wyjazdem do Zakopanego wpadł mi w ręce zbiór nowel narciarsko-taternickich Rafała Malczewskiego, „Narkotyk gór”⁶⁴. Były to opowiadania niesamowite i makabryczne w stylu Edgara Poe, nad którymi – nie ujmując nic talentowi autora – miałem chwilami ochotę wzruszyć ramionami. Pełno w nich było tajemniczych upiornych „turystów”, znikających na zawołanie lub zjawiających się w pustej dolinie taterników, którzy poprzednio gdzieś się w pobliżu pozabijali. Powtarzam – wstyd się przyznać, ale teraz te nowele wróciły, ku mojej irytacji, z sugestywną wyrazistością, nie dając się odpędzić. Mimo głębokiego oburzenia na samego siebie nic mnie już teraz w tych opowiadaniach nie pobudzało do śmiechu!

Szczególnie utkwilo mi w pamięci jedno z nich, najlepiej pasujące do mej aktualnej sytuacji. Pewien taternik nocuje samotnie w kolebie, w pobliżu ściany, na której zabił się jego przyjaciel i towarzysz. W pewnej chwili słyszy na zewnątrz kroki w podkutych butach, kroki są coraz bliższe, słychać je już przed samą kolebą, płachta zawieszona w otworze wejściowym drgnęła, uniosła się i... Daję słowo, nie pamiętam, co się dalej stało, czy duch przyjaciela wszedł do środka, czy też kontentował się rozmową na odległość. Zresztą to mi było obojętne. Wystarczył mi najzupełniej ten zapamiętany fragment i gdy kroki odzywały się znowu, zbliżały, a potem urywały nagle – musiałem całą siłą woli zmuszać się do spokojnego leżenia w śpiworze i nieodwracania głowy w stronę wejściowego otworu.

Można się śmiać z tej sytuacji w jasny dzień lub gdy obok śpi towarzysz. W czasie samotnej nocy górskiej wcale to nie wydaje się śmieszne. Jeden z mych kolegów, taternik doświadczony, chłop zdrowy jak tur i bynajmniej nerwowo nie przewrażliwiony, nocował kiedyś samotnie w kolebie przy Żabich Stawach Miękuszowieckich, nasłuchawszy się przedtem, że tam „straszy” Wachter – taternik węgierski, który przed laty zabił się na pobliskim Żabim Koniu. Gdy obudziły go zbliżające się kroki,

⁶⁴ Pierwsze wydanie w 1928, w 2006 roku wznowione przez Wydawnictwo LTW (przyp. red.).



które zatrzymały się przed kolebą, i gdy w dodatku spadła mu na głowę poruszona wiatrem płachta wisząca na otworze wejściowym – zerwał się z niesamowitym rykiem, tłukąc po drodze głową w kamienny strop, i pognął po ciemku, na oślep, w kierunku schroniska przy Popradzkim Stawie, jakby go upiory ścigały.

Opowiadał to później wiele razy, śmiejąc się z samego siebie. Śmiałem się również, ale nie ręcę za to, co bym uczynił w podobnej sytuacji. Jeśli zaś chodzi o noc w Litworowej – młody i zdrowy organizm zawsze się w końcu upomina o swoje prawa. Niesamowite odgłosy dochodziły mnie jak przez mgłę... zasnąłem.